

Tomasz Svoboda

MIÓD albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem

Ta komedia przeszła już „próbę ogniową” podczas czytania scenicznego i to aplauz widzów zdecydował, że postanowiliśmy zrealizować pełnowymiarowy spektakl, który wejdzie do naszego repertuaru. Zapraszamy więc na absurdalną czeską komedię Tomasza Svobody „Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem”. Zaprzyjaźniony z nami czeski reżyser i dramaturg przeniósł swoją sztukę w nasze realia, Teatru Ludowego, jest zatem jeszcze śmieszniej... ale też niegłupio!

W sztuce znajdziecie Państwo zarówno instrukcję jak pozbyć się ze swojego pięknego snu niepożądanego intruza topiąc go w miodzie, przestrozę, czym może grozić uprawianie miłości ze śpiącą kobietą i życiową mądrość o tym, że jesteśmy jak jeże na zamrożonej ziemi: jest nam zimno, więc tulimy się do siebie, ale jesteśmy jeżami, więc ranimy się kolcami...

Występują: Iwona Sitkowska, Marcin Stec oraz Tomasz Schimscheiner

Reżyseria, opracowanie muzyczne i scenografia: Tomasz Svoboda

Prem.: 30 października 2014 Scena Pod Ratuszem

Tomáš Svoboda – czeski reżyser i autor sztuk teatralnych, scenarzysta, od kilku lat zaprzyjaźniony z Teatrem Ludowym.

Studiował teatrologię na Uniwersytecie Masaryka w Brnie i reżyserię teatralną w Wyższej Szkole Teatralnej Leoše Janáčka w Brnie (Janáčkova akademie múzických umění – JAMU), którą ukończył w 2002 r. Jednak już w 1993 roku pracował jako asystent reżysera w Teatrze Polskim w Szczecinie i od tamtej pory datuje się jego związek z polskim teatrem.

W Czechach natomiast w latach 90. pracował jako aktor w Teatrze Lalkowym Malé divadlo (České Budějovice) oraz reżyser i dyrektor artystyczny alternatywnego zespołu „NITĚ” przy teatrze Zapadočeské divadlo Cheb. Reżyserował potem w wielu teatrach, m.in.: Národní divadlo Praha, Národní divadlo Brno (teatr dramatyczny; opera), Jihočeské divadlo České Budějovice, Divadlo F. X. Šaldy Liberec, Divadlo Husa na Provázku Brno, Divadelní společnost Petra Bezruče Ostrava, Činoherní studio Ústí nad Labem, Divadlo Komedie Praha, A studio Rubín Praha. W 2004 roku został dyrektorem artystycznym teatru Rokoko, sceny teatru Městská divadla pražská, (2004 – 2006). W latach 2010-2012 był dyrektorem artystycznym i reżyserem teatru Městské divadlo Kladno.

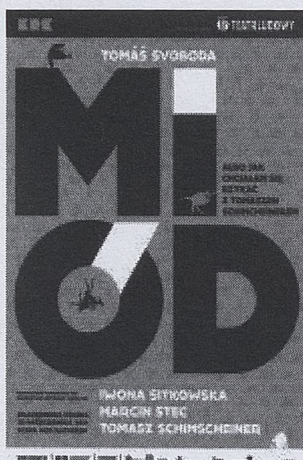
W jego dorobku jako scenarzysty są seriale napisane dla telewizji TV Nova: „Food story” (32 odcinki), „Sąsiedzi” – sitcom, projekt „Kosmosąsiedzi”, projekt „Piwo i budyń” (16 odcinków).

<http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/191407.html>

Kraków. Premiera na Scenie pod Ratuszem

30 października w Teatrze Ludowym polska prapremiera sztuki Tomasza Svody "Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem".

http://www.e-teatr.pl/pl/zdjecia/krakow/plakaty_miejscowe/k_o/plakatmiod.jpg



Ta komedia przeszła już "próbę ogniową" podczas czytania scenicznego i to aplauz widzów zdecydował, że postanowiono zrealizować pełnowymiarowy spektakl, który wejdzie do repertuaru teatru.

Zapraszamy więc na absurdalną czeską komedię Tomasza Svobody "Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem" - piszą realizatorzy. Zaprzyjaźniony z nami czeski reżyser i dramaturg przeniósł swoją sztukę w nasze realia, Teatru Ludowego, jest zatem jeszcze śmieszniej ale też niegłupio!

"W sztuce znajdziecie Państwo zarówno instrukcję jak pozbyć się ze swojego pięknego snu niepożądanego intruza topiąc go w miodzie, przestrożę, czym może grozić uprawianie miłości ze śpiącą kobietą i życiową mądrość o tym, że jesteśmy jak jeże na zamrożonej ziemi: jest nam zimno, więc tulimy się do siebie, ale jesteśmy jeżami, więc ranimy się kolcami

Kiedyś, kiedy byłem początkującym reżyserem, mieszkalem na poddaszu teatru w Brnie. Byłem na tyle biedny, że nie miałem telefonu komórkowego, tylko samą SIM kartę. Jak potrzebowałem, to pożyczałem od kogoś aparat telefoniczny, wkładałem swoją kartę i załatwiałem, co konieczne.

Którejś nocy przyśniło mi się, że jestem na planie filmu z Jamesem Bondem. Nagrywali scenę jakiegoś przyjęcia, wszyscy tańczyli i w środku między tymi ludźmi był Bond. Podchodzę do niego, żeby zobaczyć, co to za aktor. Klepnąłem go w ramię, on się odwrócił i to był mój brat.

- Cześć Marek, co tu robisz? - zdziwiłem się, a on mi odpowiada - Wiesz, ja śpię i śni mi się, że jestem Bondem.

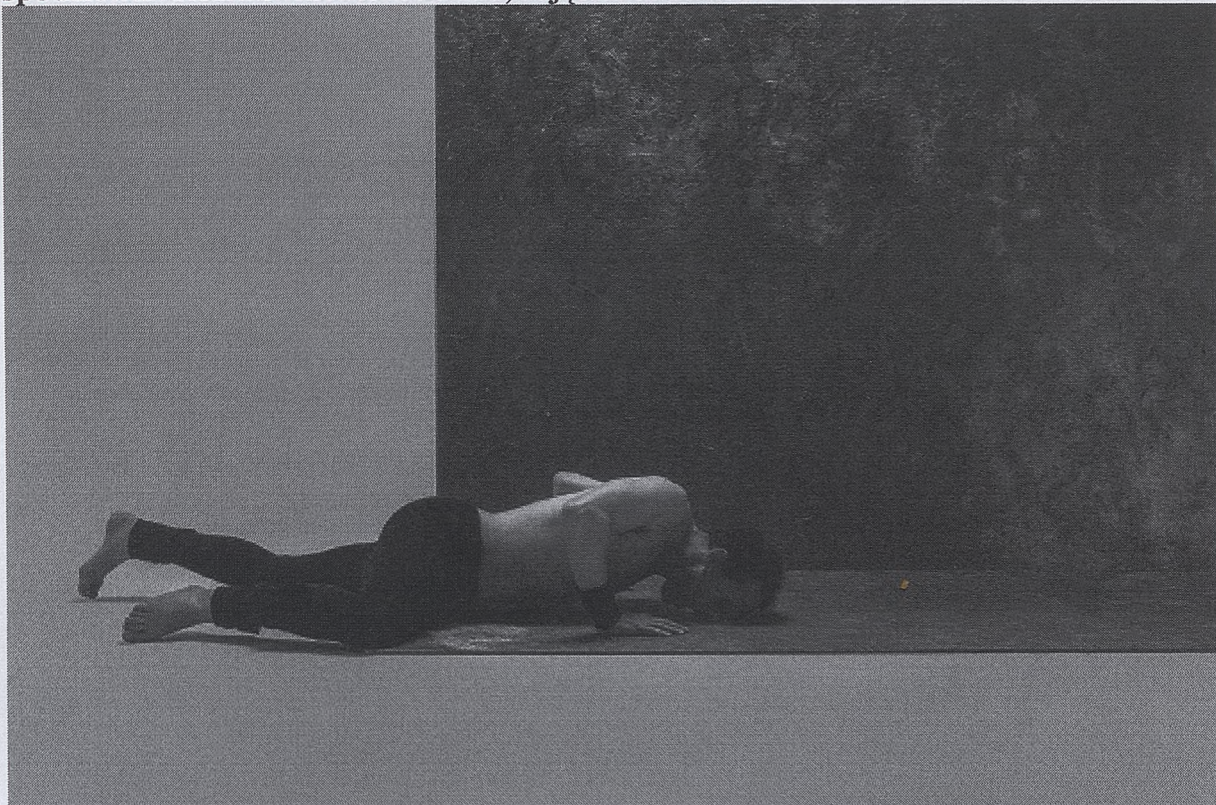
Widzę, że on ma rację i że ja jestem w jego śnie. Jednak Markowi to się wcale nie podobało, że wtargnąłem do jego snu. Czuł się niepełnowartościowym Bondem, kiedy na niego patrzyłem, bo ja przecież wiedziałem, że to tylko Marek. Usiedliśmy więc na ziemi między tymi ludźmi i skoncentrowaliśmy się na tym, żeby się mnie pozbyć z jego snu, no i udało się. Nagle usłyszałem przez sen, że przy moim łóżku na stoliku dzwoni telefon. Budzę się, siadam i... ale ja przecież nie mam telefonu, mam tylko tę SIM kartę. Patrzę na nią, kładę ją na dłoni, a ona dzwoni... Myślę, jak to się odbiera, a ona dzwoni i wtedy zrozumiałem, że ja już nie jestem w tym śnie, co przed chwilą, ale na innym piętrze tego snu.

Kiedy się wreszcie całkiem obudziłem, to wszystko to zapisałem, potem trochę pozmieniałem i powstał "Miód".

Tomas Svoboda

TOMASZ SCHIMSCHEINER OBNAŻONY

Ci, którzy go kochają, mówią, że fantastyczny aktor, kumpel, przyjaciel. Ci z przeciwnego bieguna, że zapatrzone w siebie i trudny we współpracy. Jaki jest naprawdę? On sam nie wie i nie ufa tym, którzy wiedzą wszystko. Na pewno potrafi mówić godzinami. Nam opowiedział o zakochiwaniu się na scenie, męskich kompleksach, kryzysie wieku średniego i poszukiwaniu tożsamości. Więcej, niż sam się spodziewał. Rozmawia Aneta Pondo, zdjęcia: Jacek Ura



Wiem, że dużo umiem na scenie. To jedyna rzecz, która mnie jakoś trzyma. Uciekam z domu do pracy, choć wiem, że bez tego domu mi słabo. / fot. Jacek Ura

Miasto Kobiet: Na kilka dni przed spektaklem „Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem”, dowiedziałam się, że nie ma już biletów. Czy to znaczy, że w Krakowie chodzi się do teatru na Schimscheinera?

Tomasz Schimscheiner: Tytuł sztuki, z małym skandalem w postaci „bzykania”, na pewno przyciąga. To zabieg komercyjny. A czy się chodzi na Schimscheinera? Nie wiem. Jeśli tak, jest to dla dyrektora mojego teatru fantastyczna wskazówka, a dla mnie informacja, że moje nazwisko jest marką. Ale nie chciałbym zejść na próżność w tej rozmowie.

Miasto Kobiet: Dlaczego?

Tomasz Schimscheiner: Moim zawodem jest wychodzenie na scenę i zabawianie ludzi w taki lub inny sposób, wskazywanie im nowych dróg, rozwijanie ich wrażliwości. Jakie znaczenie ma to, co wypowiadam prywatnie? I nie o skromność chodzi, bo znam swoją wartość, ale o plotki i szufladki. Przez całe lata grałem w serialu „Na Wspólnej” i wiem, że producenci, którzy kompletują obsady do nowych rzeczy, mają już swoją strukturę Tomka Schimscheinera, zbudowaną na podstawie tego serialu i postaci, którą tam zagrałem. A mogę przecież zbudować tyle innych ról. Podobnie z wywiadem. Ktoś go przeczyta i na jego podstawie zbuduje o Schimscheinerze pogląd, który może się kompletnie różnić z tym, jaki jestem.

Miasto Kobiet: Jaki więc jesteś? Czy Ty sam znasz na to pytanie odpowiedź?

Tomasz Schimscheiner: Nie, skąd. Ja tego szukam cały czas. A skoro ja szukam, to co dopiero ktoś, kto o mnie przeczyta. Tego Schimscheinera nie mogę złapać jeszcze za pięty, a co dopiero twardo stanąć na nogach.

Miasto Kobiet: Może jest rola, w której czujesz, że jesteś całym sobą?

Tomasz Schimscheiner: A może jestem aktorem, bo mam szansę być każdym po trochu? W Teatrze Stu, w „Kogucie w rosoli” gram cwaniaka, twardego gościa, który wie, czego chce, i zrobi wszystko, żeby dopiąć celu, a parę dni później w „O psychiatrach, psychologach i innych psycholach” faceta cierpiącego na parafazję, który idzie do psychologa i jest kompletnie pogubiony. A potem jadę do Wrocławia i w „Rewizorze. Według Bobczyńskiego” jestem człowiekiem całym utkanym ze strachu. Trzy różne postaci. Mam szansę być każdą z nich przez parę godzin. I jestem nimi na sto procent. Czy to jest Tomek Schimscheiner? Jest to rodzaj ucieczki od odpowiedzi na pytanie, kim jestem w rzeczywistości.

Miasto Kobiet: To brzmi, jakbyś był na etapie szukania swojej tożsamości.

Tomasz Schimscheiner: Może człowiek szuka swojej tożsamości non stop, aż do śmierci? Miałem w szkole teatralnej profesora Jerzego Golińskiego, starszego ode mnie o 40 lat, już nie żyje. Klóciłem się z nim, nie zgadzałem z jego poglądami, natomiast dzisiaj coraz częściej wracają do mnie jego słowa i zaczynam je rozumieć. Gdy na scenę wychodził aktor i mówił: „Panie profesorze, ale nie wiem, jak to zagrać”, on odpowiadał: „Ja też nie wiem, jakbym wiedział, to bym umarł”. Rozumiesz, do czego zmierzam, może niewiedza jest nam przypisana do samego końca? Nie ufam ludziom, którzy wszystko wiedzą.

Miasto Kobiet: Składasz się więc z tych wszystkich ról, które grasz?

Tomasz Schimscheiner: Tych, które gram i które pełnię w życiu. Dziś byłem już mężem, ojcem, kierowcą, kumplem, aktorem. Postaci, które ubieramy na siebie w ciągu dnia, jest kilkanaście w zależności od tego, co robimy i jak bogatą mamy osobowość. Ciągłe jesteśmy kimś innym. Teraz udzielam wywiadu i próbuję być Tomkiem Schimscheinerem intelektualistą, który stara się ująć to wszystko w jakąś syntezę, co nawiasem mówiąc, średnio mi wychodzi, i szuka sposobu na wyrażenie tego, co się w nim dzieje. Mam wrażenie, że ciągle jest nas mnóstwo. I w każdej roli odzywają się sprzeczne potrzeby. Rodzina wymaga ode mnie odpowiedzialności. Teatr wymaga czegoś kompletnie przeciwnego – braku odpowiedzialności przy tworzeniu, przy kreowaniu. Jest tu duży konflikt.

Miasto Kobiet: Lepiej byłoby być artystą bez tych zobowiązań, które narzuca życie rodzinne i społeczne?

Tomasz Schimscheiner: To jest pytanie, z którym mierzę się prawie od zawsze, od wejścia w dorosłe życie, odkąd zacząłem studiować w szkole teatralnej. Mam wrażenie, że dobrym artystą jest ktoś, kto ma poczucie braku czegoś, dzięki temu musi do tego dążyć. Inne braki ma człowiek zniewolony przez rodzinę, a inne ten, który rodziny nie ma. Może z tego braku rodzi się coś pięknego? Sztuka?

Miasto Kobiet: Gdzie jesteś prawdziwszy? W domu czy na scenie?

Tomasz Schimscheiner: Odpowiem ci, że jestem prawdziwszy na scenie, to będzie to znaczyło, że w domu coś udaję. Odpowiem ci, że w domu, to będzie, że udaję coś na scenie.

Miasto Kobiet: To byłoby naturalne, że udajesz na scenie, w końcu jesteś aktorem.

Tomasz Schimscheiner: To tak nie działa. Ja na scenie nie mogę udawać. Muszę być postacią, którą gram. Inaczej byłoby to nieprawdziwe i nieuczciwe wobec widza. W „Rewizorze. Według Bobczyńskiego” mam scenę, w której mój bohater jest zakochany w córce Horodniczego. W czasie prób robiliśmy improwizacje na poziomie uczucia między nami, i ja się musiałem w tej dziewczynie naprawdę zakochać. Nie mogłem kłamać, że ją kocham. Tak to jest z udawaniem na scenie.

Miasto Kobiet: A potem wracasz do domu i...?

Tomasz Schimscheiner: Jak przyjeżdżałem z prób we Wrocławiu, pakowałem się z tym Bobczyńskim do mieszkania, no i żona zaczynała mnie denerwować. Ale Beata ma intuicję i mówi: „Natychmiast zostaw mi tego faceta za drzwiami. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Przyjadę na

premierę i będę go oglądać, ale nie wchodź mi z nim do domu”. Od tej pory starałem się więc zostawiać Bobczyńskiego za drzwiami, co nie było proste.

Miasto Kobiet: Wszyscy grają w ten sam sposób?

Tomasz Schimscheiner: Tego nie wiem, ale ja nie jestem wszyscy, każdy szuka swojej drogi.

Miasto Kobiet: Bo to chyba nie jest zdrowe.

Tomasz Schimscheiner: Tak, to nie jest zdrowe. Ale z drugiej strony masz dar doświadczenia kilku bytów w ciągu jednego życia. Jak w grze komputerowej. Żyjesz dłużej. W teatrze, jak jesteś na scenie, czas się zatrzymuje, nie istnieje, a ty lecisz w inne rejony.

Miasto Kobiet: Przy każdej sztuce tak masz?

Tomasz Schimscheiner: Nie przy każdej. Zależy od reżysera. Dajesz tyle, ile dostajesz. Jak w związku, który jest wypadkową dwóch ogromnych sił. I jak w seksie. Kiedy się kochasz z mężczyzną, kiedy on cię obejmuje i tobie jest dobrze, to chcesz mu oddać objęcie. Nie z premedytacji, ale intuicyjnie, on to w tobie uruchamia. I leciecie razem. Dostajesz – oddajesz, dajesz – dostajesz. Porozumienie aktor – reżyser jest jak seks.

Miasto Kobiet: To jest ważniejsze niż zespół, inni aktorzy?

Tomasz Schimscheiner: To są zupełnie inne poziomy. Reżyser jest dowódcą. On robi plan, mówi, o co walczymy, po co idziemy, kto gdzie ma stanąć. Dobry reżyser potrafi porzucić własne ego. Fascynują mnie ludzie, którzy potrafią wyzbyć się siebie, żeby zrobić coś istotnego dla człowieka.

Miasto Kobiet: Kto ma większe ego, aktor czy reżyser?

Tomasz Schimscheiner: Z moich obserwacji wynika, że aktor. To się bierze z wychodzenia na scenę. Reżyser największą zabawę ma z tego, jak dochodzi do dzieła, a aktor jeszcze długo z nim zostaje. On musi brać na siebie klęskę albo sukces, bo on staje przed widownią. Żeby się bronić przed porażką, trzeba sobie zbudować silne ego.

Miasto Kobiet: Jeśli spektakl okazuje się porażką, kto jest winny? Aktor czy reżyser?

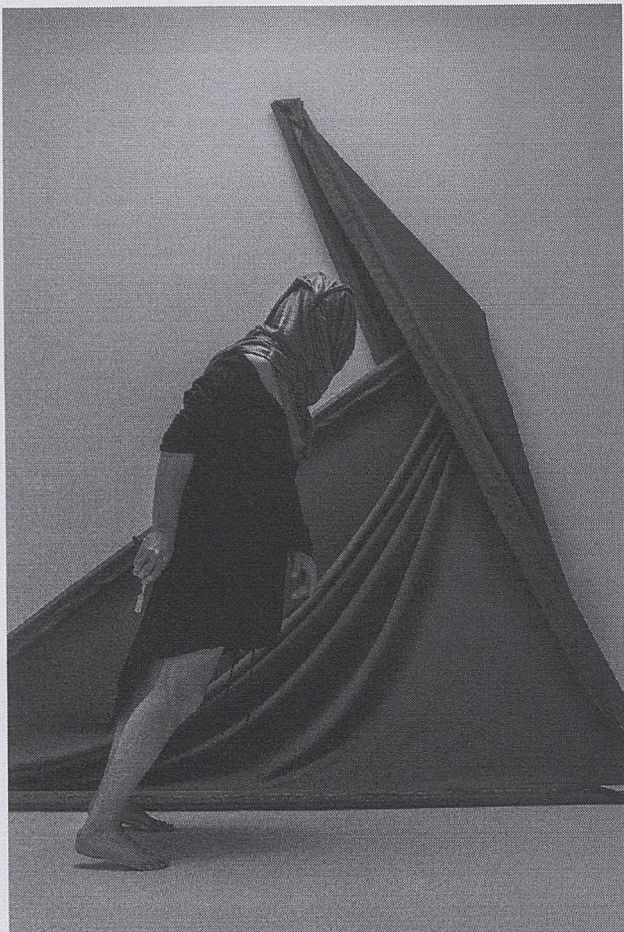
Tomasz Schimscheiner: Zawsze jest to wspólne. To jak z małżeństwem. Mam wielu znajomych, którzy się porozchodzili, każdy z nich próbuje znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, obwinia drugą stronę. A prawda leży pośrodku. Gram w spektaklu Agaty Dudy-Gracz „Ja, Piotr Riviere...”. To spektakl o winie, historia z kronik francuskich z końca XIX wieku. O facecie, który zaszlachtował siekierą brata, siostrę, ojca i całą wieś. Zostaje osądzony i skazany na karę śmierci, a gdy go ułaskawiono, popełnia samobójstwo. Dlaczego je popełnił? Nie pasuje to do układanki. Kiedy zaczyna się grzebać, szukać motywów, wychodzi, że ilość krzywd, których bohater doznaje ze strony tej społeczności, jest tak nieprawdopodobna, że zatracą ludzki wymiar i zaczyna szaleć. Przez pół spektaklu nienawidzimy tego człowieka, a przez drugie pół zaczynamy go rozumieć.

Miasto Kobiet: A czego się nauczyłeś o strachu z „Rewizora. Według Bobczyńskiego”?

Tomasz Schimscheiner: To jest potworny stan. Towarzyszy nam w każdej chwili, codziennie, na różnych poziomach. Strach o innych? Nie. To jest zawsze strach o siebie.

Miasto Kobiet: Pozwolił Ci zidentyfikować własne lęki?

Tomasz Schimscheiner: Na pewno wiem więcej o strachu. Strach powoduje, że zachowujesz się irracjonalnie i nieobliczalnie. Jest taka scena. Nie pamiętam gdzie, może u Edelmana? Siedząca w piwnicy matka ze strachu przed Niemcami tak mocno zatyka usta płaczącemu dziecku, żeby nie zdradziło jej i ukrytych z nią innych ludzi, że dusi je. Masz stan ekstremalny. Modłę się, żebyśmy nie byli poddawani takim stanom.



Facet, który traci grunt pod nogami, jest niebezpieczny, nieobliczalny, zaczyna się zachowywać jak ranne zwierzę w potrzasku. / fot. Jacek Ura

Miasto Kobiet: W życiu może nie, ale na scenie takie stany przeżywasz.

Tomasz Schimscheiner: To widz powinien przeżywać, ale aktor, jeden bardziej, drugi mniej świadomie, krąży wokół jakiegoś tematu już przez samo wypowiedzenie kwestii, myśl i emocje krążą wokół jakiejś sprawy.

Miasto Kobiet: Czy aktor potrzebuje psychiatry?

Tomasz Schimscheiner: Nie wiem, chyba nie. Potrzebuje od czasu do czasu odpocząć. Ktoś mówił o Magdzie Cieleckiej, która miała u Warlikowskiego kilka takich sezonów, że jej postać ciągle umierała. No ileż można, kurwa, umierać! Jeśli chcesz to zrobić wiarygodnie, to musisz w ten stan wleźć! Nie ma siły, żeby to nie zostawiło śladu w mózgu. Nie dziwię się człowiekowi, który idzie na wódkę, leci w zabawę, próbuje to zrzucić w tańcu. Rzadko słyszałem o psychoterapii wśród aktorów, to amerykańanie są higieniczni, może oni. Jeśli uruchomisz w sobie taki stan jak śmierć, to jesteś o jakieś doświadczenie bogatsza. Zrzucić to u psychologa?

A może żal... Może warto to mieć w sobie?

Miasto Kobiet: Potrafisz odpoczywać?

Tomasz Schimscheiner: Cały rok jestem z ludźmi. Uwielbiam ich i moja praca polega na tym, żeby z nimi być. Ale są momenty, kiedy muszę gdzieś pojechać sam. Żeby odpocząć od ruchu i hałasu, który trwa u mnie cały sezon. Wtedy pakuję namiot na motor i jadę w pierony. Rozbijam się w miejscu, gdzie nikogo nie ma, kąpię się nago w jeziorze, robię śniadanie, idę w góry... tak, wtedy muszę być sam. Żeby przez chwilę zobaczyć, gdzie ze sobą jestem.

Miasto Kobiet: Pytałam o psychoterapię dla aktorów, bo wielu z nich zaczyna się publicznie przyznawać do depresji.

Tomasz Schimscheiner: Ja o nich nie słyszałem. I nie chcę słyszeć.

Miasto Kobiet: Dlaczego?

Tomasz Schimscheiner: Uważam, że widz nie musi wiedzieć. Powinno go interesować tylko to, co aktor uruchomił w trakcie spektaklu. Mnie, gdy patrzę na słoneczniki van Gogha, interesuje, co one mi robią, a nie, że facet obciął sobie ucho. Co to kogo obchodzi? To generuje plotki.

Miasto Kobiet: Wygląda na to, że ludzi to obchodzi.

Tomasz Schimscheiner: Wolałbym, żeby ludzi interesowało to, co zostało zrobione na scenie, a nie, co aktor przeżywa w swoich czterech ścianach. Żeby ludzie plotkowali na temat sztuki, a nie depresji aktora.

Miasto Kobiet: To większość redakcji by upadła i o Tobie też nie byłoby tak głośno. Parę lat temu było Ciebie w mediach bardzo dużo: „Taniec z gwiazdami”, programy Ewy Drzyzgi, wywiady.

Tomasz Schimscheiner: To przyszło z popularnością. Mnóstwo pytań, kim jest Tomek, prywatnie i w zawodzie. Złapałem się na to. Mało tego, do dziś to wykorzystuję, nawet w tytule sztuki, od której zaczęliśmy rozmowę. Ściszej, teatr to wykorzystał, żeby komplet przychodził na spektakl. Dopiero po

jakimś czasie nauczyłem się czerpać z popularności sensowniej, dla załatwienia czegoś więcej. Tu mam głód działania, widzę, że jest coś do zrobienia, żeby popchnąć świat do przodu

Miasto Kobiet: A o co walczysz?

Tomasz Schimscheiner: Żeby ludzie więcej myśleli. Żeby nie ograniczali się do konsumpcji, żeby szli dalej, realizowali pragnienia, walczyli o siebie i nie poddawali się systemowi. Żeby walczyli ze schematami, bo schematy usypiają. Żeby nie oglądali tylko kabaretu, bo umrą ze śmiechu.

Miasto Kobiet: Jak się w to wpisywał „Taniec z gwiazdami”?

Tomasz Schimscheiner: Wytłumaczyłem sobie, że przez miesiąc mogłem pracować z najlepszymi tancerzami w kraju. U mnie w teatrze nikt by mi tego nie dał, a tam, nie dosyć, że to dostałem, to jeszcze mi płacili. Przy okazji nauczyłem się wiele o mentalności mediów, o tym, jak wykorzystują potencjał ludzi do własnych celów.

Miasto Kobiet: Po tych doświadczeniach inaczej zacząłeś grać w „Zwierzeniach Pornogwiazdy”?

Tomasz Schimscheiner: Oj, tak. Autor sztuki, Eric Bogosian, pięknie uchwycił i zamknął w monologach walkę z tępotą i z podglądactwem. Na końcu mówi o sukcesie, żebyśmy się mu przyjrzeni, bo jest to jedyny na świecie temat, który wymaga poświęcenia odrobiny więcej uwagi, i zobaczyli, na ile jesteśmy w stanie się dla niego sprzedać.

Miasto Kobiet: Taki sukces, a zarazem szufladkę, przyniósł Ci serial „Na Wspólnej”.

Tomasz Schimscheiner: Grałem Andrzeja Brzozowskiego, postać, która występuje tam od samego początku. Taki brat lata, a do tego fantastyczny ojciec rodziny, świetny mąż. Okazało się, że mój target to publika do 16. roku życia, bo wszystkie dzieci chciały mieć takiego tatę, i panie po sześćdziesiątce, bo wszystkie teściowe chciały mieć takiego zięcia.

Miasto Kobiet: A kobiety? Chciały mieć takiego męża?

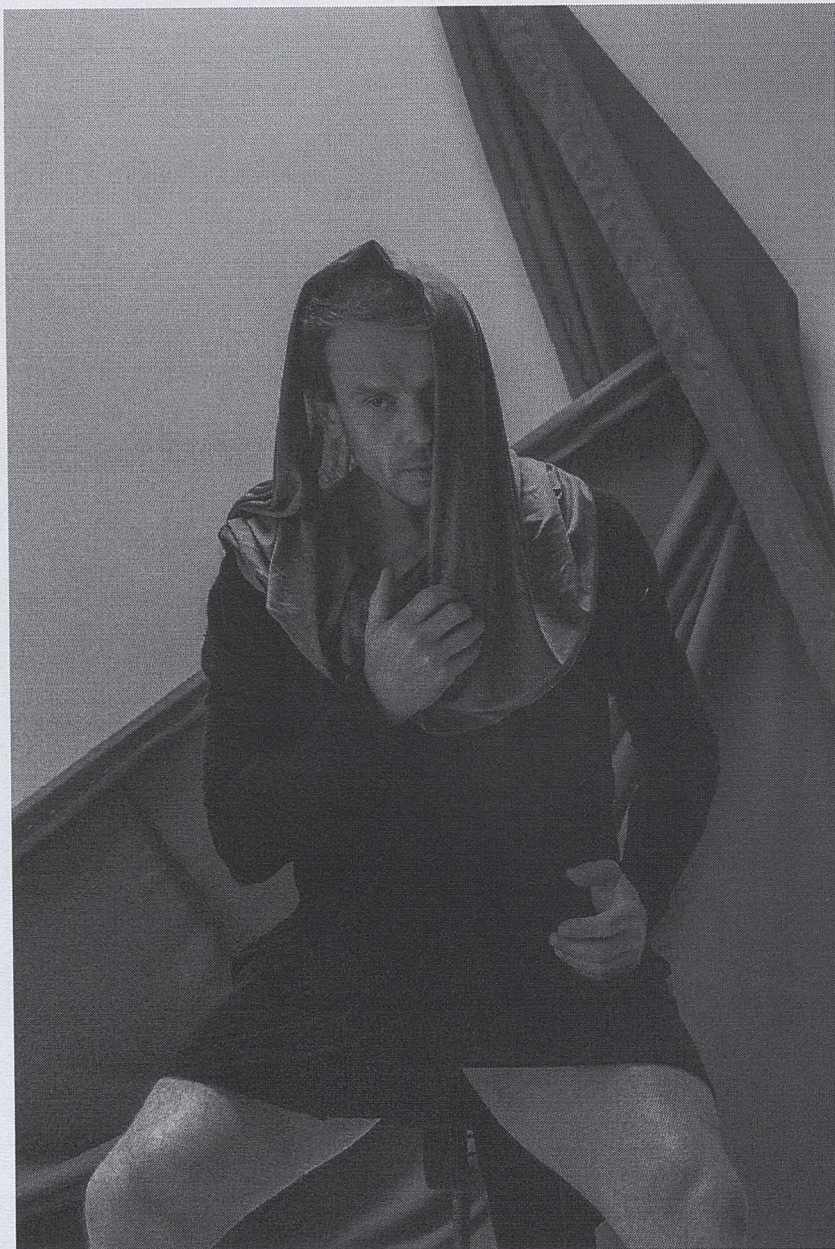
Tomasz Schimscheiner: Raczej nie. To jest u was, kobiet fantastyczne, że oficjalnie mówicie – tylko porządny dom, rodzina, żadnych tam rewolucyjnych historii. A gdzieś pod skórą tęsknicie za draniem.

Miasto Kobiet: Nawzajem. Wy, mężczyźni mówicie, że chcecie kobiety odpowiedzialnej i dobrej matki waszych dzieci, a tęsknicie za długonogą, młodą kochanką. Tak było z Twoim bohaterem z „Na Wspólnej”, który w ramach kryzysu wieku średniego zostawił żonę.

Tomasz Schimscheiner: To był sposób na odejście z serialu. Trwał 10 lat i poczułem, że tracę do niego miłość, a bez niej nie potrafię pracować. Przychodziłem do pracy jak do biura. Ale zdecydowało to, że przed podpisaniem przez producenta serialu transzy na kolejną produkcję z TVN jeden z aktorów, mijając mnie na korytarzu, zapytał: „I co, podpisali? Bo jak nie podpiszą, to jak tu żyć?”. To było uderzenie, jakby mnie dotknęła ręka Boga, jakby ustami tego gościa coś mi z góry powiedział. Pomyślałem: „Tomek, czy ty jesteś uzależniony od tej kasy? A jak coś wybuchnie i serialu nie będzie, dasz sobie radę?”. Myśliwy się we mnie obudził, i że jak wytrzepiemy całą zwierzynę w tym lesie, to co będzie? No, trzeba poszukać nowego lasu... Powiedziałem wtedy producentce, że tniemy moją postać. „Zabijcie mnie albo niech umrę w szpitalu, samolot niech eksploduje, cokolwiek”. Dała mi czas na przemyślenie, a tu słyszę, że już wcześniej Kozuchowska w „M jak miłość” zginęła w kartonach, a Rysiu z „Klanu” umarł w szpitalu, w absurdalny sposób. No, jakbym wtedy i ja zginął, to byłaby kupa śmiechu. Ustaliliśmy więc, że dajemy sobie rok i robimy sensację – mój Brzozowski zwariował, ma kryzys wieku średniego, rozstaje się z żoną dla młodszej dziewczyny. Wyjeżdża za nią do Poznania i teraz wystarczy, jak na planie zdjęciowym pojawia się na dwa, trzy dni w roku.

Miasto Kobiet: Jak taki kryzys wieku wygląda w realu?

Tomasz Schimscheiner: Kolega, którym się inspirowałem, zostawił żonę z trójką dzieci, zaczął chodzić na kurs bębnienia, odkrywał w sobie nowe pokłady. Po czterdziestce zaczyna się dla faceta trudny okres. Widzi, że nie zdążył paru rzeczy zrobić, więc próbuje rzutem na taśmę to nadrobić. Uczulałbym was na to, baby, bo to jest moment, kiedy trzeba o faceta bardzo dbać. Bez podkładania się i służalczości, oczywiście, jak się ma nie udać, to się nie uda, ale na pewno trzeba być na niego bardziej uważnym.



Patrzę na siebie w lustrze i widzę starszego faceta. I nie mogę się z tym zgodzić. / fot. Jacek Ura

Miasto Kobiet: Czyli pozwolić mu na bębnienie?

Tomasz

Schimscheiner: Przede wszystkim nie traktować go protekcyjnie. Dać mu poczucie wolności, bo on wtedy bardzo tego potrzebuje. Dać mu się zaskakiwać. To jest strasznie trudny okres dla faceta. Dla kobiet też, wiem. Ale wtedy faceci naprawdę szaleją. Statystycznie oceniając, kobiecie 40-letniej trudno jest konkurować z dziewczynami o połowę młodszymi, choć jest od nich zdecydowanie mądrzejsza. A facet w tym wieku czuje, że jeszcze się podoba i ma ogromny potencjał, a do tego duży zasób wiedzy, doświadczenia życiowego. Młode dziewczyny to lubią, i to generuje niebezpieczeństwa.

Miasto Kobiet: Czego jeszcze kobiety nie wiedzą o mężczyznach?

Tomasz

Schimscheiner: Nie można

wszystkiego odkryć, coś powinno pozostać tajemnicą. Jeżeli powiem Ci, co powinnaś o mnie wiedzieć, i założymy, że to będzie prawda, to nie pozwolę Ci samej do tego dojść, i wtedy nasz związek – obojętne jakiego rodzaju: dziennikarza z pytaniem, kobiety z mężczyzną, pracodawcy z pracownikiem – będzie pozbawiony tajemnicy, a przecież jest ciekawy dopóty, dopóki ona istnieje. Przed tym bym przestrzegał. Lepiej siebie nawzajem zaskakiwać.

Miasto Kobiet: Kryzys wieku, a może bardziej kryzys męskości, to także temat sztuki „Kogut w rosole”. Porozmawiajmy o roli mężczyzn we współczesnym świecie. Spektakl jest o facetach, którzy tracą poczucie wartości.

Tomasz Schimscheiner: Mam przeczucie, że facet, który traci grunt pod nogami, jest niebezpieczny, nieobliczalny, zaczyna się zachowywać jak ranne zwierzę w potrzasku. Dawniej było dla niego bardzo istotne działanie z pozycji siły – tak go ustawiła ewolucja i kultura. Dzisiaj dla faceta bardzo ważne jest bycie potrzebnym.

Miasto Kobiet: Opowiedz mi o męskich kompleksach.

Tomasz Schimscheiner: Dobrze ci było? (śmiej) To najczęstsze pytanie, które mężczyzna zadaje kobiecie.

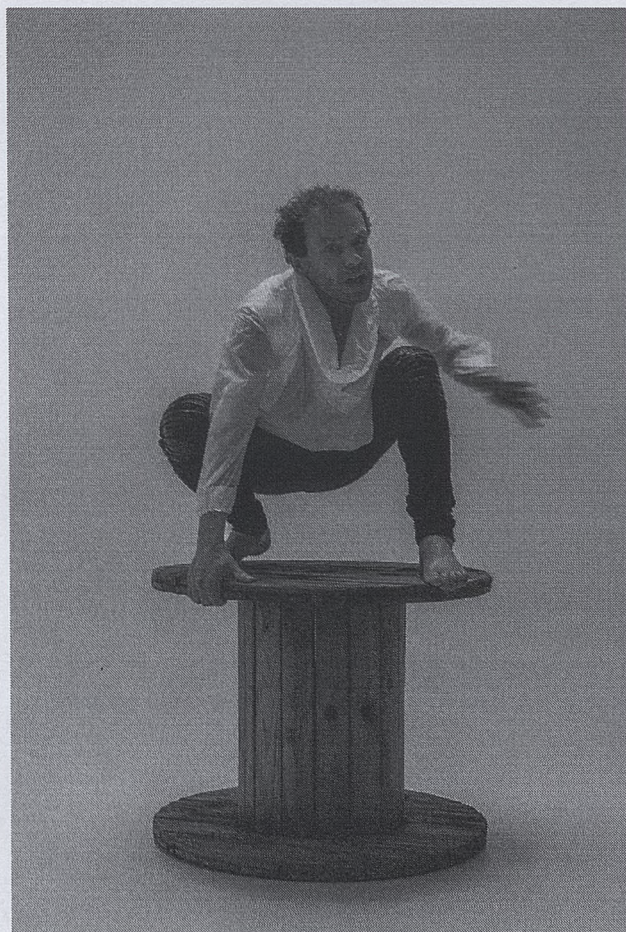
Miasto Kobiet: Naprawdę je zadają?

Tomasz Schimscheiner: Tak. Sam je zadawałem do momentu, kiedy pojąłem, że to jest o kant dupy potłuc, że nie to jest ważne, ważne jest dochodzenie do czegoś razem. To do tego momentu to jest oznaką kompleksów.

Miasto Kobiet: Mężczyzna musi od razu wiedzieć, że jest dobry?

Tomasz Schimscheiner: Jeśli ma naturę zdobywcy, wojownika, myśliwego, tropiciela, to tak. Wiedzieć, że to, co robi, przynosi efekt. Chyba o to chodzi. Byłem dobry? Cały czas sprawdzian. Czy zdałem egzamin, czy się nadaję, czy jestem potrzebny? Wniosek jest szerszy – mężczyzna nie może znieść, że nie jest potrzebny. Kompleksy są okropne. One wyrastają z takich miejsc, że nawet się nie spodziewamy, że je mamy. To są doświadczenia czasami wczesnego dzieciństwa, jakiegoś złego potraktowania nas przez rodzica, na ogół nieświadomego. Przygotowuję się do sztuki „K27” o artystach, którzy tragicznie zginęli w wieku 27 lat, i czytam Ratując Amy – wywiad Daphne Barack z rodzicami Amy Winehouse. Była dzieckiem kochanym i rozpieszczanym. Nie mówię, że to złe, dzieci trzeba rozpieszczać, muszą czuć miłość, bo inaczej wejdą w życie bez niej. Przytulasz dziecko, to ono będzie przytulało w przyszłości. Proste. Ojciec był z nią bardzo zżyty, ale w czasie, gdy Amy wchodziła w okres dojrzewania, rozstał się z żoną. I Amy zaczęła się staczać: alkohol, narkotyki, ekscesy. Daphne Barack tworzy hipotezę, że Amy była zazdrosna, niekoniecznie świadomie, o to, że ojciec był z inną kobietą, i próbowała ściągnąć jego uwagę. Ona wręcz próbowała zrobić na złość. Zostawiłeś mnie, to teraz zapieprzaj przy mnie. A że знаła jego konstrukcję psychiczną, wiedziała, że będzie to robić. I mamy dramat.

Rodzina wymaga ode mnie odpowiedzialności. Teatr czegoś kompletnie przeciwnego. Jest tu duży konflikt. / fot. Jacek Ura



Miasto Kobiet: A u Ciebie w domu jak było?

Tomasz Schimscheiner: Wyszedłem z domu, w którym panował absolutny patriarchy. Ojciec dominował. Miał bardzo silną osobowość. A ja miałem kompleks męskości. Pomijam, że budowałem sobie obraz mojego taty na miarę antycznego posągu. Ale rodzice posłali mnie do szkoły o rok wcześniej, więc spotykałem się z dziećmi, które były starsze ode mnie. Ja byłem ciągle najmłodszy i życiowo najgłupszy. W szkole teatralnej też.

Miasto Kobiet: Po co tam poszedłeś?

Tomasz Schimscheiner: To mało ciekawe. Długo nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, kompletnie. Może mama chciała zrobić ze mnie aktora? Od dziecka brałem udział w konkursach recytatorskich. Potem moja siostra, młodsza ode mnie o dwa lata, zaczęła wykazywać duże zdolności aktorskie i grała w teatrzykach dziecięcych. „O, Agnieszka, jaka zdolna, ona będzie aktorką”. Może ja mam kompleks niższości wobec siostry? Teraz sobie tak pomyślałem... To może dlatego w drugiej klasie liceum powiedziałem, że też poszedłbym na jakieś warsztaty aktorskie? Poszedłem do

Dworku Białoprądnickiego. To tam się zaczęło.

Miasto Kobiet: Siostra jest aktorką?

Tomasz Schimscheiner: Tak. Nasze drogi się rozeszły. Nie spędzamy ze sobą zbyt dużo czasu, mamy różne sposoby myślenia.

Miasto Kobiet: Konkurujecie?

Tomasz Schimscheiner: Agnieszka prawie zarzuciła aktorstwo. Ale kiedyś tak, konkurowaliśmy ze sobą. Ona była oczkiem w głowie rodziców. No tak, cholera. Mam kompleks siostry.

Miasto Kobiet: Byłeś najstarszy?

Tomasz Schimscheiner: To dramatyczna historia. Rodzice mieli starsze ode mnie dziecko, dziewczynkę, która zginęła w wypadku samochodowym w wieku czterech lat. Mama była w szoku, odlatywała zupełnie. Lekarz powiedział, że jedynym wyjściem jest następne dziecko. W ten sposób moja siostra zastąpiła tamtą zmarłą. Rodzice przelali na nią wszystko, co mieli. Świadomie lub nieświadomie, nie będę tego rozbierać, mam to za sobą. A ja... próbowałem zwracać na siebie uwagę. Nie byłem łatwym dzieckiem. Ona była number one. Może dlatego dzisiaj nie jest mi do niej blisko? Poradziliśmy sobie z tym jako ludzie dorośli, ale żeby się nie konfrontować, na wszelki wypadek widzimy się rzadko. Nie chodziłem z tym do psychoanalityka. Ale na poziomie aktorskim mam poczucie swojej wartości. Wiem, że mogę więcej, że jestem zdolny do dodatkowej pracy. Nie ustawiam się na poziomie „dobrze było?”. Zobacz, mówiłem na początku, że aktor nie powinien opowiadać w gazecie o życiu prywatnym, bo ważniejsze jest, co przekazuje na scenie, a Ty ze mnie takie rzeczy wyciągasz...

Miasto Kobiet: Dla mnie scenariusze, jakie odgrywamy w życiu, są ciekawsze od tego, co na scenie. Wróćmy do kompleksów, tym razem tych związanych z ciałem, z wyglądem.

Tomasz Schimscheiner: Dlaczego kobiety tak bardzo interesują się męskimi kompleksami?

Miasto Kobiet: Bo interesują je mężczyźni. I same mają dużo kompleksów.

Tomasz Schimscheiner: Tak, tu jesteście kompletnie szalone. Zwróciłem na to uwagę. Przepiękna kobieta potrafi znaleźć na sobie, na swoim ciele jakiś ubytek, uwierzyć w to, że to brzydkie, i upierać się, że tak jest. Nie rozumiem was pod tym względem. Nawet gdyby mężczyzna mówił jej, że to nieprawda, nie przyjmuje tego do wiadomości. Tego nie mogę zrozumieć.

Miasto Kobiet: A Ty lubisz swoje ciało?

Tomasz Schimscheiner: W Body Arcie tak.

Miasto Kobiet: Trochę mało. A poza sceną?

Tomasz Schimscheiner: Nie wiem, czy lubię swoje ciało, pracuję nad nim, nie chcę, żeby się za szybko zestarzało. Starość jest paskudna, to jest rzecz, która Panu Bogu się nie udała. Przyjdzie się z nią zmierzyć, tak jak z łysiną. Łysięję, co zrobię? Patrzę na siebie w lustrze i widzę starszego faceta. I nie mogę się z tym zgodzić.

Miasto Kobiet: Sztuki, w których grasz, nie uczą, jak się godnie zestarzeć?

Tomasz Schimscheiner: Takich jeszcze nie miałem. Ale jak patrzyłem na Hankę Polony w „Starej kobiecie” w Ludowym... To jest godne, absolutnie piękne i godne.

Miasto Kobiet: Co Cię przeraża w starości?

Tomasz Schimscheiner: Ułomność. Nie przeraża mnie obwisłość, zmarszczki czy łysienie. Ułomność. Że nie będę mógł zdążyć do tramwaju. Że nie dobiegnę i on odjedzie. Widziałem taką scenę. Straszy człowiek biegł do tramwaju i widać było już, że nie zdąży i że on się z tym pogodził. Ale pamiętam jego spojrzenie i łzy. Czy to były łzy z powodu wiatru, czy on coś zrozumiał w tym momencie? A może ja sobie to nadinterpretowałem? Mam prawie 50 lat, gram w piłę i widzę, że moja kondycja jest na innym poziomie niż kiedyś, że nie tak szybko się regeneruję jak kiedyś i że jest to proces, którego już nie zatrzymam.

Miasto Kobiet: Mówisz o starości, a ja widzę, jak rozbierasz się na scenie, jak jesteś zbudowany, i nie rozumiem, o co chodzi. Chodzisz na siłownię?

Tomasz Schimscheiner: Nie chodzę na siłownię, ćwiczę regularnie w domu. Mamy dwa spektakle, gdzie trzeba być w miarę sprawnym fizycznie, ale to nie z tego się wzięło. Jak młodsza córka Adela miała półtora roku, bardzo lubiła się bawić w hopa, hopa, podrzucanie. Robiłem takich hopa, hopa pięć

razy i padałem na pysk. Pomyślałem: ja piernicze, to dziecko będzie mnie miało jeszcze przez ileś tam lat, nie mogę być taki zdiadziały. Stąd te ćwiczenia, żeby wytrzymać nie pięć, ale 15 hopa, hopa, żeby móc pójść z nią na sanki i się nie zasapać. A potem przyszły spektakle, w których wykorzystywałem tę sprawność. Poza tym jak po tych ćwiczeniach dla Adeli zobaczyłem, jak wyglądam, to żal było zmarnować... 40 brzusków dziennie, parę podciągnięć na drążku, 10 pompek rano i wieczór... Zauważyłem, że ciało zaczęło mi się zmieniać. Pomyślałem: fajnie, takiego ciała jeszcze nie miałem.

Miasto Kobiet: Nie przekonuje mnie ta motywacja. Atrakcyjność damsko-męska?

Tomasz Schimscheiner: Widzę, że chcesz mówić o kulcie ciała, piękności, tak? Facet jest atrakcyjny w każdym wieku. W młodym wieku dzięki urodzie i sile, ale z wiekiem staje się atrakcyjniejszy przez wiedzę, doświadczenie, światło, którego nabiera w sobie przez całe lata.

Miasto Kobiet: Sesja z Jackiem Urą. Te zdjęcia były dla Ciebie zaskoczeniem?

Tomasz Schimscheiner: Tak. Jacek pokazał mi kogoś innego we mnie. Pokazał mi przestraszonego faceta, który idzie do celu, ale nie bardzo wie, dokąd ani czy to ma sens. Ale idzie. Bo jest silny. Jak koń w kopalni, z klapkami na oczach. Jest to jakiś przełomowy moment w życiu. Tak to zostało uchwycone. To mnie bardzo zaskoczyło.

Miasto Kobiet: Ja na tych zdjęciach widzę siłę, ale też rozpacz.

Tomasz Schimscheiner: To jest bardzo blisko. Jak masz siłę, a nie wiesz, dokąd iść, ujawnia się rozpacz. Ale to za mocne określenie, bo rozpacz nie daje nadziei, a ja nigdy nie byłem pesymistą. Marek Edelman powtarzał, że wszystko jest poukładane, że wszystko jest po coś, i ja w to wierzę. A zarazem rozwala mnie, gdy spotykam na swojej drodze ludzi, którzy nie zauważają potencjału innych i nie potrafią lub nie chcą go wykorzystać. Brakuje mi takiej miłości do mojej rodziny, jaką miałem kiedyś, coś tu się podziało. Wiem, że dużo umiem na scenie. To jedyna rzecz, która mnie jakoś trzyma. Uciekam z domu do pracy, choć wiem, że bez tego domu mi słabo. Więc czego mi brakuje? Wolności? Bez troski? Zostałem uchwycony w momencie, kiedy dzieje się we mnie coś dziwnego, fascynującego i niepokojącego zarazem. Być może przełomowego.

Miasto Kobiet: Co to takiego?

Tomasz Schimscheiner: Mam poczucie, że nie jestem w tym miejscu, w którym powinienem być. Najprościej mówiąc.

Miasto Kobiet: A gdzie powinien być?

Tomasz Schimscheiner: Tego nie wiem.

Zdjęcia i koncepcja: Jacek Ura

Stylizacja: Dominika Wałęga

Włosy: Magda Dukat

Makijaż: Monika Wróbel

Ubrania: Synthetic, Dominika Wałęga, Dvorus



LEPKIE SNY (MIÓD ALBO JAK CHCIAŁAM SIĘ BZYKAĆ Z TOMASZEM SCHIMSCHAINEREM)

22 stycznia 2015 · by [Redakcja](#) · in [Piotr Gaszczyński](#), [recenzje](#)

MIÓD albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem to krótka, zabawna historia – w sam raz na wolne popołudnie. Chociaż spektakl krakowskiego Teatru Ludowego nie jest znaczącą pozycją w repertuarach królewskiego miasta, to z pewnością warto poświęcić mu nieco ponad godzinę.

Autoironiczna, autokrytyczna – taka jest komedia Tomasa Svobody. Czeski reżyser, który wielokrotnie realizował swoje projekty pod Wawelem, przepisał własny utwór, dostosowując go do sytuacji polskiego środowiska artystycznego. Historia rozpoczyna się niezwykle prosto: chłopak poznaje dziewczynę na dyskotekę i kilka godzin później lądują razem w łóżku. Po licznych namiętnych uniesieniach przy świadkach (podest z łóżkiem i pościelą z podobiznami tytułowego bohatera stoi przed sceną, między widzami) nawiązują rozmowę, z której wynika, że oboje są aktorami. Humorystyczna dyskusja świeżo upieczonych kochanków opiera się głównie na „obgadywaniu” znanych postaci polskiego teatru i filmu. Rzeczywistość sceniczna miesza się z realnymi sytuacjami (łózkowi partnerzy opowiadają o swoim udziale w produkcjach faktycznie emitowanych w telewizji), słowem – drobne przytyki w swoim piekielku.

O ile część erotyczno-pokazowa stawia na rubasność, dosłowność i cięty dowcip, o tyle dalsza – oniryczna, kieruje widzów w sferę domysłów i marzeń sennych. Młoda aktorka śni o spotkaniu ze swoim idolem, ideałem mężczyzny – Tomaszem Schimscheinerem. Gdy wymarzony partner pojawia się na scenie, w konsumpcji znajomości przeszkadza partner z dyskoteki, niespodziewanie obecny w śnie dziewczyny. Z jednej strony zabawne *qui pro quo*, w którym pływający w wyimaginowanym

3

pomieszczeniu pełnym miodu aktorzy przekomarzają się, piętrzą kolejne zabawne sytuacje, jest z pewnością wciągające dla widowni. Z drugiej strony twórcom udało się wyczuć moment, kiedy seria dość prostych żartów dochodzi do granicy kompletnego zużycia. Spektakl jest krótki, przez co energia płynąca ze sceny nie wyczerpuje się za wcześnie.

MIÓD... może się podobać. Trochę seksu, humoru (i humorystycznego seksu), filozofii oraz szczypta Freuda dają ciekawą mieszankę z pogranicza kabaretu, recitalu i spektaklu dramatycznego. Mieszanka serwowana pod ziemią krakowskiego rynku jest również popisem gry aktorskiej. Bardzo dobre dialogi połączone z interesującym ruchem scenicznym pozwalają aktorom na swobodne podzielenie się całą resztą miodem płynącą ze sceny. Smacznego!

Piotr Gaszczyński, Teatralia Kraków

Internetowy Magazyn Teatralny „Teatralia” nr 123/2015

Teatr Ludowy w Krakowie

MIÓD albo jak chciałam się przespać z Tomaszem Schimscheinerem

Tomas Svoboda

tłumaczenie: Magdalena Peč

reżyseria, scenografia i opracowanie muzyczne: Tomas Svoboda

konsultacje językowe: Pavel Peč

kostiumy: Kinga Stanowska

zdjęcia filmowe: Sebastian Strama

obsada: Iwona Sitkowska, Marcin Stec, Tomasz Schimscheiner

premiera: 30 października 2014 roku

fot. mat. Teatru

Piotr Gaszczyński – absolwent filologii polskiej oraz teatrologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. W „Teatraliach” publikuje od 2010 roku. Miłośnik groteski pod każdą

8. Katowicki Karnawał Komedii

30.01.2015-8.02.2015

Katowice

Katowicki Karnawał Komedii ma osiem lat. Zaatakuje humorem 30 stycznia i nie odpuści do 8 lutego. Powodów do radosnych przytupów będzie wiele. Podczas teatralnych zapustów zobaczymy 12 spektakli.

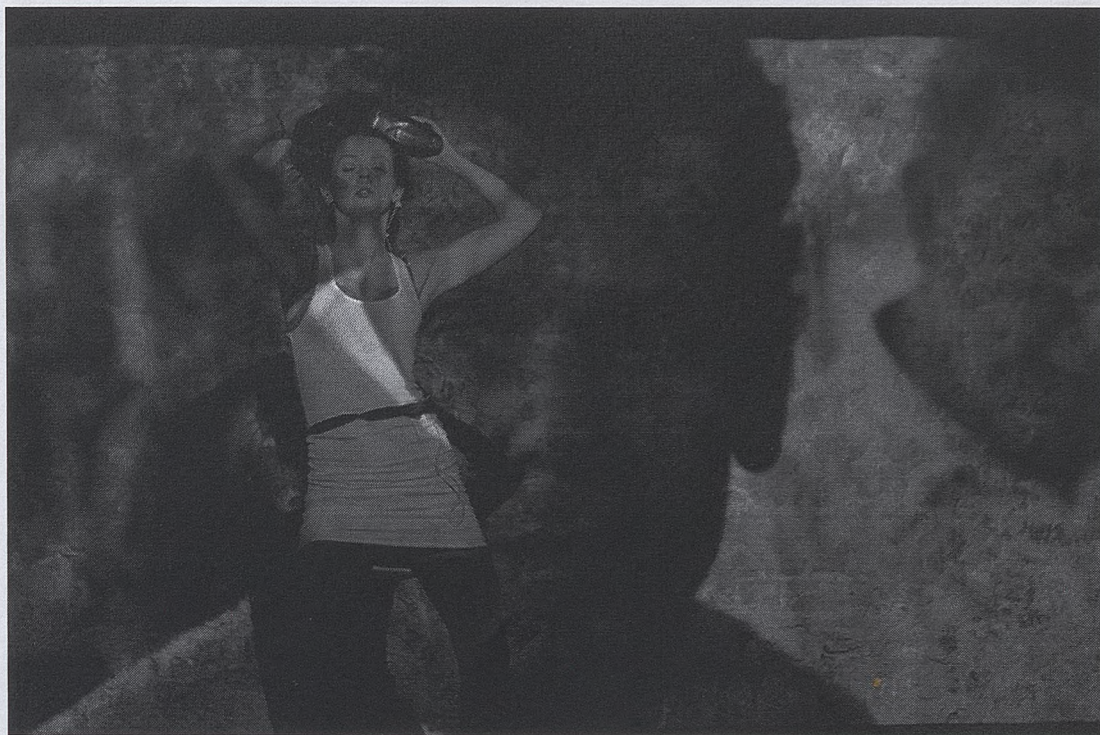
KKK rozpocznie się wysokim C: w Pałacu Młodzieży aka Hotelu Westminster spotkają się politycy. Nie będzie to jednak relacja z wycieczki do Madrytu. Brytyjski humor sygnowany przez Raya Cooneya („Mayday” itd.) sięga znacznie dalej niż polska wyobraźnia – dlatego politykom oprócz żon towarzyszyć będą kochanki.

W karnawale najbardziej widoczna będzie Warszawa: Teatr Kwadrat („Ślub doskonały”), Teatr Imka („Operetka”), Och-Teatr (One mąż show – Szymon Majewski), Teatr Polonia („Chodź ze mną do łóżka”), Agencja Certus („Złodziej”) i Studio Accantus („Afera Mayerling”). Swoje komediowe role rozpisze Kraków z przewagą Nowej Huty. Teatr Ludowy otworzy festiwal „Hotelem Westminster” oraz pokaże „Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem”, w którym wystąpi tytułowy aktor. Cud, miód, Schimscheiner. Łąźnia Nowa doleje oliwy do ognia i upiecze na jednym ruszcie czterech aktorów warszawskiego Teatru Montownia, „Quo vadis” Sienkiewicza oraz kostiumową, zabarwioną absurdem i partiami śpiewanymi opowieść religijno-melodramatyczną. Krakowską trójkę zamknie Sztuka na wynos, Scena Pokój z „...i zawsze przy mnie stój” Tomasza Jachimka.

Bez naftaliny i kompleksów ruszy do ataku „Ożenek” Teatru Modrzejewskiej z Legnicy – siedmiu kawalerów w klubie samotnych serc spotka dziewięć panien i jedną wdówkę. A gadające niemowlę, bracia syjamscy i dziewczynka-morderca z balonikiem – reprezentanci katowickiego Teatru Rawa – przyprawią rzeczywistość „Kabaretem ponurego żartu”. Nic, tylko się śmiać :)

tekst: Magda Gościński | na zdjęciu: „Hotel Westminster”, reż. W. Nurkowski, zdjęcie: Sebastian Strama

<http://karnawalkomedii.pl/spektakle/teatr-korez-2/miod-albo-jak-chcialam-sie-bzykac-z-t-schimscheinerem-teatr-ludowy-krakow/>



2 lutego 2015 r., godzina 18.00, godzina 20.30

Scena Teatru Korez

Teatr Ludowy, Kraków

Tomas Svoboda

Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem

Ta komedia przeszła już „próbę ogniową” podczas czytania scenicznego i to aplauz widzów zdecydował, że postanowiono zrealizować pełnowymiarowy spektakl, który wszedł do repertuaru Teatru Ludowego. Zaprzyjaźniony z Teatrem czeski reżyser i dramaturg Tomas Svoboda przeniósł swoją sztukę w jego realia, jest zatem jeszcze śmieszniej... ale też niegłupio!

W sztuce znajdziecie Państwo zarówno instrukcję jak pozbyć się ze swojego pięknego snu niepożądanego intruza topiąc go w miodzie, przestrozę, czym może grozić uprawianie miłości ze śpiącą kobietą i życiową mądrość o tym, że jesteśmy jak jeże na zamrożonej ziemi: jest nam zimno, więc tulimy się do siebie, ale jesteśmy jeżami, więc raniemy się kolcami...

Tekst, reżyseria, opracowanie muzyczne i scenografia: Tomas Svoboda

Przekład: Magdalena Peč

Występują: Iwona Sitkowska, Marcin Stec oraz Tomasz Schimscheiner

poniedziałek, 9 marca 2015

Teatr Ludowy (Kraków): Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem

tekst, reżyseria, opracowanie muzyczne, scenografia: Tomáš Svoboda
występują: Iwona Sitkowska, Marcin Stec, Tomasz Schimscheiner

Marzenie

Dla Tomáša Svobody rzeczy niemożliwe nie istnieją. Podobnie jak nie istnieją do znudzenia powtarzane scenariusze damsko-męskich historii. Ten autor i reżyser staje się na teatralnych scenach mistrzem absurdu, a i celnym obserwatorem rzeczywistości. Zestawia te dwa skrajne podejścia w znakomitych historiach, a obecność nieskrępowanej wyobraźni tłumaczy kolejnymi snami. Owszem, oniryczny charakter opowieści pozwala na dowolne szaleństwa. Ale pomysły z pogranicza jawy i snu Svoboda rozwija rewelacyjnie.

Spektakl „Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem” rozpoczyna się projekcją filmową. Oto Schimscheiner, znany donżuan, który nie przepuści nawet brzydkiej kobiecie z brodą (rola Svobody) zostaje ukarany za swoje winy (a wyrok wydaje prywatna żona, co stanowi jeden z wielu smaczków krótkiej prezentacji). Z sądowej sali, po szeregu napisów końcowych, widzowie przeniesieni zostają najpierw na hałaśliwą dyskotekową imprezę, a zaraz potem – wprost do łóżka bohaterki. Dziewczyna nie ma oporów przed udowodnieniem poznanemu przed chwilą facetowi, że pieprzy się tak samo dobrze, jak tańczy. Dyskusje w łóżku, przerywane kolejnymi „numerkami”, przechodzą od nieistotnych plotek na temat znanych aktorów po sprawy życiowe i głęboko filozoficzne. A potem przychodzi sen, sen, do którego fanka Tomasza Schimscheinera ściąga swojego idola po to, by się z nim, nomen omen, przespać.

To ona nadaje ton historii. Grana przez Iwonę Sitkowską dziewczyna w łóżku jest niewiarygodnie zmysłowa. We śnie, do którego sprowadza miód i Schimscheinera – groteskowa. Jej erotyczne fantazje brzmią teraz niemal jak parodia łóżkowych ekscesów. Sitkowska w tej roli całkowicie podbija serca widzów. Ci, zgodnie zresztą z zaplanowaną przez reżysera konwencją, kibicują dziewczynie, pocieszają ją i trzymają za nią kciuki, czynnie uczestniczą w akcji. On – postać Marcina Steca – odważny jest tylko przy zainicjowaniu kontaktu. Później podporządkowuje się jej pomysłom – jedynie ze snu o Schimscheinerze nie potrafi się wydostać. Służy za tło, momentami staje się śmieszny w swojej bezradności. Nie ma szans w tej relacji. A jednak budzi sympatię. Jest jeszcze Tomasz Schimscheiner, grany przez Tomasza Schimscheinera. Obecny jako wzorek na pościeli w jej łóżku i jako przybysz ze snu. Żaden tam demon seksu – ot, nieśmiały i przeciętny facet, który nawet w snach ma skrupuły, żeby przelecieć chętną fankę. Czwartym aktorem staje się tu publiczność, która uczestniczy nawet w seksie bohaterów. Nie ma w tym ani wulgarności, ani żenującego żerowania na przypadkowych widzach. Ta publiczność zostaje wpisana w spektakl, zyskuje swoje miejsce i nadaje ton całej – intymnej mimo zbiorowości – historii.

Svoboda funduje odbiorcom ponad godzinę śmiechu bez przerwy. Mimo banalnego z pozoru tematu – przygodnego seksu i niemożliwych do zrealizowania zauroczeń – udaje mu się wpieść do sztuki ogromną liczbę żartów słownych i sytuacyjnych. Bawi się też komizmem samych postaci – i to jeszcze zanim do głosu dojdzie cudowny purenonsens. Przy szaleńczym

i niekończącym się śmiechu boli gorzka prawda przedstawiona tu zamiast spodziewanej kabaretowej puenty. Svoboda zabiera publiczność do innej rzeczywistości, żeby na koniec zafundować widzom przeskok z zabawy i snu do prawdziwego życia. Mocne to, chociaż zupełnie inne niż podpowiada spektakl. Po szeregu gagów i humorystyczno-teatralnych rozwiązań w najlepszym gatunku chciałoby się jeszcze baśniowego finału. Albo katartycznego śmiechu zamiast refleksji. To najlepszy dowód, że Svoboda po raz kolejny odniósł sukces.

Nie trzeba ani wielkich słów, ani wielkich scen, żeby wydarzyło się coś wartego opowiedzenia. Svoboda sięga do marzeń, które dla jednej osoby są najważniejsze, a dla wszystkich innych – komiczne. Wygrywa, bo nie wyśmiewa się z bohaterki, a angażuje widzów w jej nadzieje i fantazje – nawet kiedy okazuje się, że obiekt idealizowanego uczucia nie nadaje się nawet na wyśnionego partnera. Jak to możliwe, że każda z postaci ma tutaj inny cel, a Tomasz Schimscheiner w ogóle trafia do opowieści wbrew własnej woli – i z każdą odbiorcy będą sympatyzować? Do tego potrzeba wyobraźni Svobody – i poczucia humoru, za które tego twórcę można pokochać. A jeśli do zestawu dopisze się trójkę cudownych aktorów – to przepis na sukces jest gotowy.

Autor: [Izabela Mikrut](#) o 10:00

[Wyślij pocztą e-mail](#)[Wrzuć na bloga](#)[Udostępnij w usłudze Twitter](#)[Udostępnij w usłudze Facebook](#)[Udostępnij w serwisie Pinterest](#)

Sztucznym miodem karmieni

Czeska komedia „MIÓD albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem”, grana na deskach Sceny pod Ratuszem, to rozrywka i refleksja wysokich lotów. Siłą tej surrealistycznej satyry na środowisko aktorów jest przekora, dystans i zabawa, których tak bardzo potrzeba by odpocząć od otaczającej nas propagandy sukcesu

„Słowa jak sztuczny miód,
erzac, cholera, nie życie,
miał być raj, miał być cud
i ćwiartka na popicie”

– pisała Agnieszka Osiecka, która w relacjach damsko-męskich oraz społeczno-partyjnych wyczuwała fałsz, pozę, frustrację i odsłaniała je w piosenkach. Taką słodko-gorzką wariacją na temat „sztucznego miodu” w życiu prywatnym oraz zawodowym jest właśnie „MIÓD albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem”. Rewelacyjna, zgrabnie skrojona i zaadaptowana na polskie warunki komedia czeskiego dramaturga i reżysera, Tomasa Svobody, pokazuje złudność popularnych wyobrażeń o szczęściu. Jest to również pełna autoironii wypowiedź aktorów o ich własnej sytuacji w czasach kapitalistycznej gonitwy za złoty runem. Co rusz ktoś puszcza tu do nas oko. A to absolwent studium aktorskiego, a to aktorka na dorobku marząca o życiu w świetle fleszy, a to celebryta bardziej pocziwy i spełniony jako mąż i ojciec niż mogłoby się nam wydawać.

„...no, a jeśli, jeżeli, nie tak,
no to po co nam było w to gnać,
tamto rwać,
iść pod prąd, pod wiatr,
gniazdo więc
niby ptak,
no – jeżeli ma być
nie tak?”

Historia z pozoru błaha: dziewczyna spotyka chłopaka. Trochę alkoholu, pląsów na parkiecie i lądują razem w łóżku, lecz miast zatracić się w tytułowym „bzykaniu”, zaczynają rozmawiać o życiu zawodowym i prywatnym. Całonocna rozmowa toczy się w pościeli z wydrukowanymi nań podobiznami Tomasz Schimscheinera. I tu kończy się komediowo-romantyczny realizm a pojawia świat marzeń, serialowych bohaterów, fantazji erotycznych w wersji glamour oraz snów młodej bohaterki. Grająca główną rolę Iwona Sitkowska od początku tej sekwencji zagarnia scenę, wprowadzając Bogu ducha winnego kochanka w świat swojej groteskowej wizji. Odgrywa idealną rzeczywistość, w której staje się seksbombą ze złotej ery Hollywood, snującą się niczym wąż boa-dusiciel wokół swej zdobyczy (Tomasza Schimscheinera) femme fatale, gwiazdą popularnego serialu, by za chwilę, sprowadzona na ziemię przez Chłopaka Na Jedną Noc, stać się znów Kopciuszkiem niezaproszonym na bal.

Tekst oparty na podwójnej deziluzji daje grającym duże pole do popisu. Sitkowska jako historyczna nimfetka z wdziękiem miota się między światem snu odgrywanego na scenie a tym realnym, zainscenizowanym w łóżku ustawionym na proscenium. Mamy tu projekcję stereotypowych wyobrażeń o kobiecie sukcesu: futerko z norek, kochanka-gwiazdora, rola w telewizyjnym hicie. Świat ten nie poddaje się jednak woli dziewczyny, która zamiast śmigać w nim – niczym rekin w oceanie – bardziej grzęźnie jak osa w szklance kompotu. Metafora ucieczki i powrotu ze snu oddaje iluzje, które jak mydlane bańki rosną i przyskają w życiu przypadkowych

kochanków. Ładujący w jednym łóżku Ona i On okazują się być aktorami gdzieś na początku zawodowej drogi. W dialogach oraz kłótniach toczonych między sekwencjami nieudolnych pieszczot prowadzą grę w lepszą wersję siebie. To ironiczne przedstawienie sytuacji absolwentów szkół aktorskich na rynku pracy i skonfrontowanie ich z figurą gwiazdora dodaje tekstowi ironicznej lekkości. Tomasz Schimscheiner, ma zaś okazję zderzyć swój medialny wizerunek z tym zwyczajnie ludzkim, ponaśmiewać się z pierwszego (zwłaszcza w filmowej scenie sądu na rozpustniku pokazywanej przed rozpoczęciem spektaklu), młodzi zaś mogą pożartować ze środowiskowych uprzedzeń i frustracji. Świetnie wypadają żarty na temat uczelni artystycznych i ich estymy oraz pierwszych filmowo-telewizyjnych epizodów. Aktoreczka z dyskoteki chwali się rolą topielicy w kryminalnym hicie niczym Zagłoba wojennymi przygodami, Chłopak Na Jedną Noc wypada blado jako sex-machine, a Tomasz Schimscheiner bardziej niż zaliczać histeryczną fankę, woli czym prędzej wrócić do żony.

„Wygadujcie, panowie, androny,
tylko błagam – nie mówcie, nie mówcie już do nas jak do żony.”

Marzenia i fantazje głównej bohaterki są tak groteskowe, jak jej ekscytacja na widok idola. Przerysowana komediowa konwencja niejako sprowadza życie do właściwej miary. Ukazuje sytuację, w której rzeczywistość walczy o rację bytu z marzeniami o srebrnym ekranie oraz życiu w pełni splendoru. Młodzi, zamiast zakochać się i paść sobie w ramiona, przywdziewają maski ludzi sukcesu, nadrabiają miną i głodnymi kawałkami opowiadanych kolejnym wyrwanym w klubie partnerom. Nie mogą spotkać się ani fizycznie ani mentalnie, bo nie są w stanie dorównać swoim i cudzym oczekiwaniom. Tak jakby ciągle nie byli dość dobrzy, by zasłużyć na uwagę. Pod tym względem „MIÓD” to trochę moralitet o damsko-męskim nienasyceniu naszych czasów, opowiedziany historiami z kolorowych gazet i plotkarskich portali. On i ona bardziej plotkują niż rozmawiają, bardziej grają niż są. Ona prawdopodobnie boi się stabilizacji kojarzącej się jej z nudą i powszedniością. On frustruje się widząc, że dziewczyna wciąż ucieka do marzenia o innym szczęściu.

„Ja na kłamstwie się znam tak jak ty,
sztucznym miodem karmieni - to my.”

Pod koniec sztuki sam Schimscheiner, bohater sennego marzenia, wydaje się bardziej przerażony niż zadowolony z uwielbienia i pożądania, jakie go spotyka. Pragnie czym prędzej uciec ze snu, w którym przeznaczono mu główną rolę. W ostatniej scenie, „wykorzystany i porzucony” prosi o pomoc w wydostaniu się z niechcianej rzeczywistości. Zamiast do krainy wyuzdania i rozpusty, chce do domu i miękkich kapci. Młodzi kochankowie prawdopodobnie już do siebie nie zadzwonią, ale być może po obudzeniu pozbędą się kilku niebezpiecznych fantazji, które przerosły ich prawdziwe możliwości i oczekiwania.

„Sztucznym miodem karmieni to my” – zdają się mówić aktorzy w warunkach wolnego rynku. Skoro więc miodu wcale nie zawsze potrzeba do pełni szczęścia, może nie warto w nim tonąć? Jednym słowem – „MIÓD” Teatru Ludowego to świetna odtrutka na targowisko próżności naszych czasów.

Jakub Wydrzyński

Dziennik Teatralny Kraków

20 maja 2015

Spektakle

Miód albo Jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimscheinerem.

Tygodnik Podhalański

Zakopane

28-09-17

T. / Nr 39

Weekend w Krakowie

■ Wiedzieć może, czym grozi uprawianie miłości ze śpiącą kobietą i jak pozbyć się z pięknego snu niepożądanego intruza? Jedno jest pewne: z absurdałnej komedii *Miód albo jak chciałam się bzykać z Tomaszem Schimschainerem* Tomáša Svobody wyniesiemy życiową mądrość o tym, że jesteśmy jak jeże na zamrażniętej ziemi: jest nam zimno, więc tulimy się do siebie, ale jesteśmy jeżami, więc raniimy się kolcami... Sztuka przeszła już „próbę ognia” podczas czytania scenicznego i – na fali aplauzu publiczności – wchodzi do repertuaru *Teatru Ludowego* w inscenizacji samego autora, który przeniósł akcję w realia... *Teatru Ludowego* (28-29.09 godz. 19).

■ 42 partnerów (w tym główny organizator – Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego), prawie 1200 naukowców i 2 tys. studentów oraz blisko 250 kół naukowych. To dzięki nim 29.09 w aż siedmiu mia-

stach Małopolski, w tym w Krakowie, można będzie w niecodzienny sposób zgłębiać tajniki takich dziedzin, jak: chemia, fizyka i astronomia, geologia i geografia, matematyka i informatyka, biologia i medycyna, a także nauki humanistyczne, artystyczne, społeczne czy ekonomiczne. Szerokie spektrum zagadnień prezentowanych podczas *Małopolskiej Nocy Naukowców* może stać się inspirującą przygodą dla osób w każdym wieku, a niektórych być może zachęci do wyboru kariery naukowej. Collegium Maius i Uniwersytet Jagielloński, ul. Jagiellońska 15, godz. 17.

■ *IX Cracovia Music Festival* to międzynarodowy festiwal muzyki chóralnej organizowany przez MRF Music Festivals. Do Krakowa przyjedzie 11 amatorskich chórów z: Finlandii, Niemiec, Austrii, Norwegii, Czech, Słowacji, Węgier i Włoch. Usłyszymy je 28 i 30.09 w Muzeum Manggha

(godz. 19.30) oraz podczas wspólnego koncertu w kościele św. św. Piotra i Pawła 29.09 o godz. 15.

■ W Małopolskim Ogrodzie Sztuki spektakl *Dom Dźwięku*. Jest on instalacją performatywną, w której publiczność może obcować z muzyką w sposób bardziej aktywny niż tylko słuchając, w której grupa obcych sobie ludzi, bez względu na podziały, światopogląd i doświadczenie muzyczne, może stworzyć z dźwięku swojego rodzaju „współ/brzmiącą wspólnotę”. *Dom Dźwięku*, tak jak kiedyś Domy Kultury czy Domy Rzemiosła, to miejsce spotkania, wspólnego spędzania czasu, w którym umożliwia się uczestnikowi aktywnie tworzenie dźwięku, zbiorową kontemplację, ale też indywidualne, głębokie nasłuchiwanie (29-30.09, godz. 18.10, 19 i 19.50).

opt. mon

Więcej o wydarzeniach kulturalnych w Krakowie na www.karnet.krakow.pl